

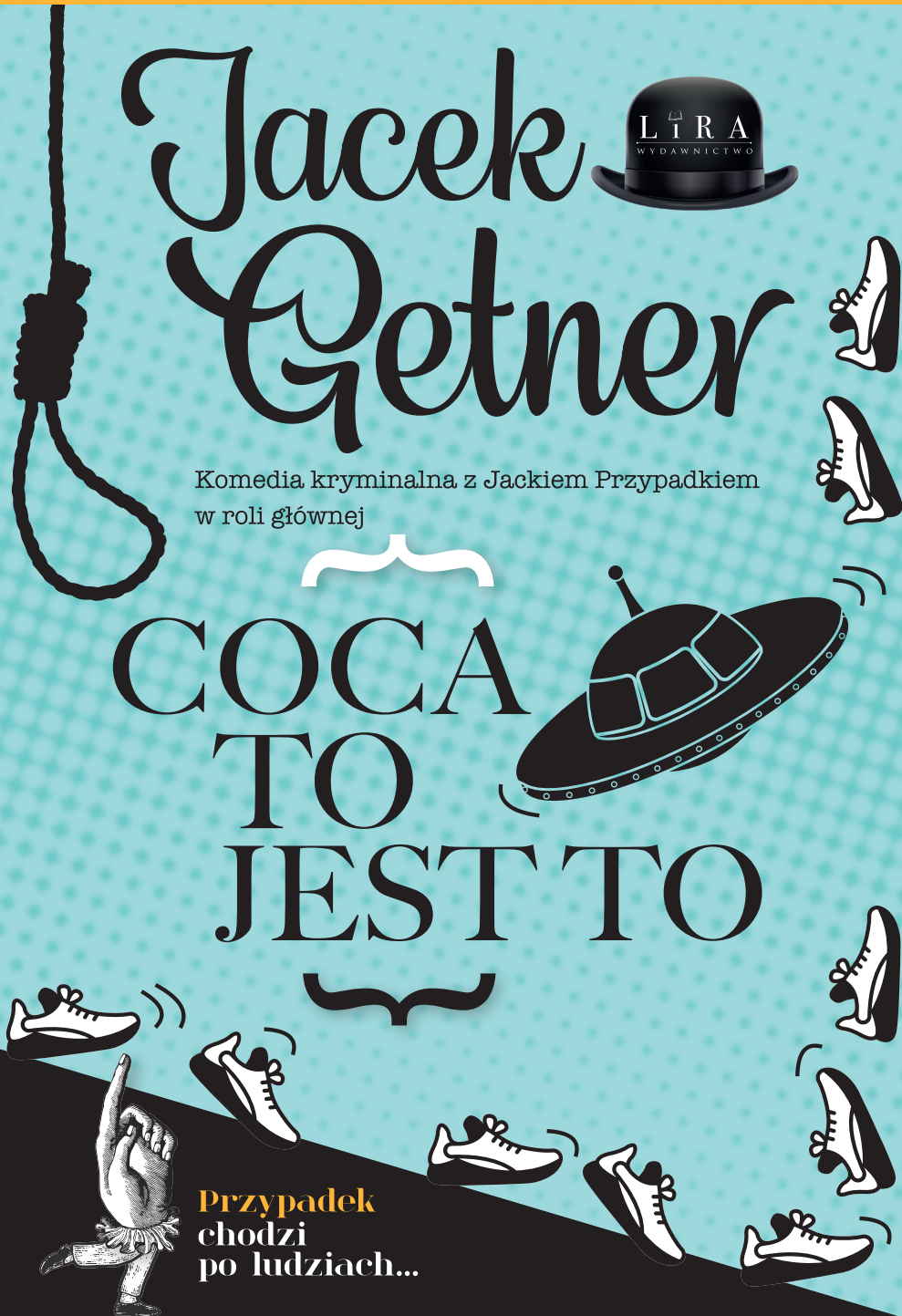
Jack Getner



Komedia kryminalna z Jackiem Przypadkiem
w roli głównej

COCA TO JEST TO

Przypadek
chodzi
po ludziach...



COCA
TO
JEST TO

Jacek
Getner

COCA
TO
JEST TO

L i R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-68101-08-9

ROZDZIAŁ 1

Coca to jest to!

Wkoło zionęło wielką pustką. Totalną i wszechogarniającą. Obezwładniającą i dołującą. Maksymalnie beznadziejną. Taką, z której jest już tylko droga na samo dno, a nawet dużo, dużo niżej.

A jeszcze pół godziny wcześniej było tu zupełnie inaczej. Panowała ogromna radość, poczucie niesamowitej mocy. Euforia i tryumfalizm! W końcu siedziało tu trzech ludzi absolutnego i niesamowitego sukcesu. Dyrektorzy kreatywni największych agencji reklamowych na rynku! Zdobywcy wielu nagród branżowych, nieustannie pnący się po stopniach kariery. Właściwie będący na jej samym szczycie!

I chyba w tym tkwił problem. Osiągnęli już wszystko i nagle orientowali się, że nie mają nic. Kompletnie nic. Wokół nich była właśnie ta wielka pustka. Oraz Bolko Szoltysik. Od wielu lat gwiazda i gospodarz mnóstwa programów telewizyjnych i radiowych. Swej twarzy i charyzmy używał już wielu reklamowanym produktom, stąd znał się bardzo dobrze ze wszystkimi trzema panami.

Ale ostatnio nie miał najlepszej passy. Dlatego zagadnął siedzącego obok Michała „Szubienicę” Aniołka, gospodarza tego zgromadzenia:

— To jak będzie z tą reklamą szamponu przeciwłupieżowego?

Aniołek, czterdziestokilkuletni blondynek o twarzy wiecznego dziecka, spojrzał ciężko na szołmena. Swoją przydomek zawdzięczał nie tylko wisielczemu nastrojowi, który gnębił go od dawna. Już kilka lat wcześniej w salonie zamiast żyrandola umieścił pętlę ze sznura jak na wielkiej szubienicy. Twierdził, że czasem się przymierza do włożenia do niej głowy i być może kiedyś skorzysta z tego elementu wystroju wnętrza — bo świat jest bez sensu, a on sprzedał się komercji i cierpi z tego powodu; bo tak naprawdę marzył o tym, żeby zostać wrażliwym poetą. Niektórzy znajomi śmiali się z niego, ale zapraszane tu kobiety w wieku świeżo pomaturalnym wierzyły mu bez zastrzeżeń i były pod ogromnym wrażeniem jego nonkonformizmu.

— Bolko, jakiego szamponu? — zapytał Szubienica.

— No przecież mówię, przeciwłupieżowego. O, zobacz, jakie ja mam piękne włosy. Długie, czarne i ani śladu łupieżu.

— Czarne masz, bo sobie cały czas farbujesz. Poszukaj kogoś, kto takie rzeczy reklamuje.

— Nie ma mowy, nie wystąpię w żadnej reklamie farby do włosów! — zaperzył się szołmen. — Jeszcze by ktoś pomyślał, że ja naprawdę mam siwe włosy.

— Dla mnie możesz sobie występować, w czym tylko chcesz. — Aniołek wzruszył ramionami. — Moja agencja nie ma w portfolio ani farby, ani żadnego szamponu.

— Szkoda — westchnął Szołtysik. — Czekaj, to może ty, Robert, mówiłeś mi o szamponie?

Bolko spojrzał z nadzieją na bruneta o bladym licu, przypominającym lico nieboszczyka, który siedział równie smutny naprzeciw niego. Ten prychnął tylko pogardliwie i wycedził:

— Moja agencja specjalizuje się w produktach dla prawdziwych mężczyzn. — Trupiechowski ułożył się wygodniej na fotelu i spojrzał w sufit. — Samochody, piwo, prezerwatywy...

— Pasuje! — ucieszył się Bolko. — Wszyscy wiedzą, że ja jeżdżę najlepszymi bryczkami, piwko też lubię, chyba nawet kiedyś jakieś reklamowałem, chociaż to straszny sikacz był. Za prezerwatywami nie przepadam, ale reklamować mogę. Dużo nie wezmę, pół bańki mi starczy — zgodził się łaskawie.

— Bolko, ale po co by ktoś w ogóle miał cię brać do reklamy? — odezwał się trzeci z dyrektorów kreatywnych, Ksymeniusz Szmigiero.

On z kolei miał na głowie burzę lekko posiwiałych włosów, a na szyi plamki z farby, której nie domył po ostatniej próbie namalowania obrazu. Próba ta skończyła się atakiem szału i nałożeniem płótna na głowę podwładnej, która przerwała mu proces twórczy.

— Jak to po co? — Bolko był autentycznie zdziwiony. — Przecież jestem autorytetem dla młodzieży. I dorosłych zresztą też. I jestem powszechnie znany, lubiany... No i czego rżycie? — Wciąż raczej zdumiony niż zły spojrział na trójkę dyrektorów kreatywnych.

— Czyli to prawda, co o tobie mówią. — Aniołek pierwszy opanował śmiech.

— No pewnie, że o mnie mówią. Wszyscy o mnie mówią, to nic dziwnego, że coś o mnie mówią. O mnie się mówiło zawsze i wszędzie, to teraz też się mówi — napuszył się dumnie. — A właściwie co mówią?

— Że kompletnie nie masz kontaktu z rzeczywistością. Półtora roku temu straciłeś program w TV i ludzie o tobie już właściwie zapominają. Przedtem też byłeś chwilę głośny po pięciu latach posuchy. Teraz to powinieneś komuś dopłacić za to, żeby cię pokazał w reklamie, to może byś dostał jakąś robotę w radiu.

— Was już kompletnie pogięło — oburzył się Bolko. — Ja wciąż mam swój program w TV. Co tydzień nagrywamy nowy odcinek. Spędzam w studiu za każdym razem sześćset sześćdziesiąt sześć minut, to

znaczy przychodzę na dziesiątą, a wychodzę sześć minut po dwudziestej pierwszej.

— Bolek, nic nie masz — zgasił go Aniołek. — Jak ci dzisiaj otworzyłem drzwi, to sam cię ledwo poznałem, bo myślałem, że już nie istniejesz.

— Bo za dużo tego gówna wciągacie. — Szoltysik pokazał na szklany stoliczek, gdzie można było zobaczyć jeszcze mikroślady białego proszku.

— A co, mamy tak jak ty cały czas maryskę jarać? — roześmiał się pogardliwie Trupiechowski.

— To dobre dla dzieciaków podobnych do ciebie, które wciąż uważają się za nastolatków, chociaż już powinny na emeryturę iść — dodał Szmigiero.

— Tak, trawestując klasyczkę naszej branży: „Coca to jest to!” — zadeklarował gospodarz.

Pozostali pokiwali zgodnie głowami, ale na ich twarzach wciąż gościły smutek i pustka.

— Myślisz, że ona też wciągała kreski? — zainteresował się Ksymeniusz.

— Wtedy był problem z towarem. Ale jakby mogła, na pewno by wciągała — wyraził swoje przekonanie Aniołek.

— Wtedy w ogóle było lepiej, w tym peerelu. — Trupiechowski pokiwał smętnie głową. — Mogła przytulić kasę za reklamę i oprócz tego jeszcze inne fajne rzeczy robić. Do Kabaretu Starszych Panów albo dla

Rodowicz. I wszyscy wiedzieli, kto to Osiecka. A czy ktokolwiek wie, kto to Trupiechowski?!

— To fakt — przyznał Szmigiero. — A teraz to nawet nikt nie skojarzy człowieka z żadną reklamą. I wszystko to bez sensu.

— Zupełnie bez sensu — westchnął Trupiechowski.

— Kompletnie bez sensu — dołączył do chóru gospodarz. — Tylko sobie samobója strzelić.

— Daj spokój, nigdy tego nie zrobisz — prychnął Ksymeniusz. — Ta twoja szubienica to tylko lep na laski.

— Tak myślisz?! — zaperzył się Aniołek. — To zaraz zobaczysz! — Podniósł się. — To, że ty byś nie dał rady ze sobą skończyć, nie znaczy, że ja też jestem takim mięczakiem!

— Ja nie dam rady? — oburzył się Szmigiero.

— Obydwaj nie dacie rady. Tylko ja bym potrafił! — włączył się do licytacji Trupiechowski.

— Akurat! Ty nawet porządnej reklamy nie umiesz zrobić, a samobója chcesz sobie strzelić — warknął z wyższością gospodarz i ruszył w stronę salonu, gdzie była domowa szubienica.

W tej chwili jedyną osobą, która siedziała, był Bolko Szołtysik. Od czasu, gdy został potraktowany emerytalnym epitetem, usiłował obliczyć, ile ma faktycznie lat, żeby powiedzieć, jak dużo mu jeszcze

brakuje do tego feralnego wieku. I choć był znany z tego, że wszelkie rachunki wciąż fantastycznie powstawały i utrwały się w jego głowie, to tego jednego nie mógł wykonać. Uznał tylko, że do bycia emerytem brakuje mu prawie czterdzieści lat, bo z trudem był sobie w stanie wyobrazić, że ma więcej niż trzydzieści.

Kiedy już to zrobił, zauważył dopiero, że jego znajomi dyrektorzy kreatywni w tej chwili przeciskają się w stronę salonu, licytując się wciąż o to, który z nich da radę popełnić samobójstwo. Ledwo jednak zdążyli przekroczyć drzwi, zaczęli się nawzajem szarpać i odpychać, żeby żaden z nich nie dopchał się pierwszy do szubienicy. Bolko chciał nawet krzyknąć w ich stronę, żeby przestali się wydurniać, ale w tym momencie wszyscy się wywrócili, a po chwili zastygli w nienaturalnych pozach. I trwali tak dobrą minutę, zanim Szołtysik zapytał:

— No co się wam stało?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, podniósł się i ruszył w ich stronę. Gdy podszedł bliżej, zauważył, że wszyscy mają wzrok wbity w sufit, w miejsce, gdzie w salonie znajdowała się szubienica. Powędrował za ich spojrzeniami i po chwili otworzył usta ze zdziwienia.

Miejsce, w którym dyrektorzy kreatywni chcieli popełnić samobójstwo, było już zajęte. Na dodatek

kształty, niczym nieokryte, no i twarz wisielca wydały się Bolkowi dziwnie znajome.

— Karolina? — zapytał bezwiednie, ale nieboszczka mu nie odpowiadała, dlatego spytał jeszcze: — Co ty tu robisz?

* * *

Jacek Przypadek z zadowoleniem rozglądał się po wnętrzu mieszkania numer trzystaście mieszczącego się na czwartym piętrze kamienicy przy ulicy Konneckiej 40. Było urządzone naprawdę elegancko i ze smakiem, odrobinę nowocześnie, ciupkę klasycznie. Sam detektyw, gdyby na nowo przemeblowywał swoje własne lokum, zrobiłby to w dokładnie ten sposób jak Malwina Źarska, była dziennikarka, jego nowa sąsiadka. On jednak, jako konserwatysta z natury, nie miał w zwyczaju niczego diametralnie zmieniać. Co najwyżej czasem mógł uzupełnić swoje mieszkanie o jakiś drobiazg. Albo ewentualnie taboret, który rozpadł się po czterdziestu latach, wymienić na nowy. Pod warunkiem że był niemal identyczny jak ten zepsuty.

Był tu pierwszy raz, od kiedy mieszkająca z nim przez kilka miesięcy Malwina kupiła to mieszkanie i przeprowadziła się drzwi obok. Nie zaglądał

wcześniej do swojej niedawnej współlokatorki, bo ta oświadczyła, że nie ma sensu, aby oglądał gołe ściany sąsiedniego mieszkania, i zaprosi go dopiero, kiedy się całkiem urządzi. I ta chwila właśnie nastąpiła.

— Naprawdę, pięknie tu — powiedział do gospodyni. — Muszę tu czasem do ciebie wpadać. Oczywiście jeśli będziesz mnie zapraszać — zastrzegł.

— Masz tu nieustające zaproszenie — powiedziała Malwina. — O każdej porze dnia i nocy.

— Nawet gdy nie jesteś sama? — zapytał niewinnie Jacek.

— Ja jestem cały czas sama.

— Nie zrozum mnie źle, ale wydawało mi się, że ostatnio jakiś mężczyzna wyszedł od ciebie dość mocno po północy.

— Stary znajomy — wyjaśniła Żarska. — Nie widzieliśmy się wiele lat i trochę się zasiedział.

— Malwina, proszę cię. — Przypadek uśmiechnął się szeroko i rozsiadł wygodnie w jednym z foteli.

Mebel był ustawiony naprzeciwko obrazu, który Jacek podarował Malwinie. Płótno przypominało wielkie okno, za którym rozciągał się widok na stary gęsty las. Detektyw wpatrywał się w niego dłuższą chwilę, zanim się odezwał.

— Przecież ty wiesz, że ja wiem, że to nie był stary znajomy.

— Powiedzmy, że stęskniłam się za twoją słynną dedukcją, w której nawet Sherlock Holmes jest pół kroku za tobą.

— Tym razem nie musiałem jej używać, bo pomogły mi nasze ulubione sąsiadki, panie Zygfryda i Teodora. — Tak miały na imię dwie nader wiekowe lokatorki spod numeru czternastego, które wprowadziły się tam na czas nieobecności swojej kuzynki, Irminy Bamber.

— Naprawdę ufasz w ich słowa? One, zdaje się, mają jakąś obsesję na punkcie tego, żeby ci udowodnić, że są lepszymi detektywami niż ty.

— Muszę przyznać, że czasami naprawdę nie brak im logiki przy wyciąganiu wniosków. Co jest godne podziwu, zważywszy, że mają około dziewięćdziesięciu lat. Ale tym razem nawet małe dziecko wiedziałoby, że to nie twój stary znajomy, słysząc, jak wypowiada przed wejściem do ciebie kwestię: „Pani Malwino, tak się cieszę, że mogłem panią poznać”.

— Czyli podsłuchiwały. — Malwina pokiwała głową. — Tęsknie za panią Irminą Bamber. Ona by nic takiego nie zrobiła.

— Wraca dopiero w okolicy świąt. No chyba że jakiś sztorm zatrzyma jej statek. I dopiero wtedy jej kuzynki stąd znikną.

— No trudno. Zatem zostałam rozszyfrowana i nie mogę udawać, że to mój stary znajomy. Ale mam

nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że czasem odwiedzi mnie ktoś, kto zostanie dłużej? A może nawet na śniadanie?

— Szczerze mówiąc, ucieszyłbym się nawet, gdyby ktoś taki cię czasem odwiedził — powiedział zupełnie poważnie Przypadek, a Żarska mogła tylko żałować, że to nie jest z jego strony żart. — Ale dobrze wiesz, że to nie był ktoś taki.

— No to dawaj, Sherlocku, powiedz, co tym razem mnie zdradziło. I nie wmawiaj mi, że siostry Zygfrйда i Teodora podsłuchiwały przez trzy godziny, co dokładnie robimy z moim nowym znajomym.

— W sumie to naprawdę proste. Już same słowa, które mówił ten twój znajomy przed wejściem, świadczyły o tym, że to nie ten rodzaj relacji. Gdyby to był ktoś na jedną noc, to i tak bylibyście już na „ty”, a nie na „pan”, „pani”. Gdyby twoja książka o poszukiwaniach Basi już wyszła, mógł być to teoretycznie twój czytelnik, który rozpoznał cię po zdjęciu na okładce. Ale ona przecież trafi dopiero do księgarni za jakieś dwa tygodnie.

— Kiedyś byłam dość znaną dziennikarką — uważała Żarska.

— Tak, ale jeśli ktoś pamiętał cię z tamtych czasów, to już też zapewne wie, że porzuciłaś zawód i zachwycając się możliwością poznania cię, nic nie zyska. Poza

tym ty jako dziennikarka, w odróżnieniu od swojej przyjaciółki Ani Sakowicz, nigdy nie gwiazdorzyłaś.

— Więc kim był mój nowy znajomy?

— Ostatnio nigdzie nie wychodzisz, nie poznajesz nowych ludzi. Musiał to więc być ktoś poznany świeżo, ale nie bezpośrednio przed jego wizytą. Nikt z wydawnictwa, bo z osobami pracującymi nad twoją książką musiałaś poznać się wcześniej. Wyjątek stanowi zapewne redaktor, bo z tego, co pamiętam, miałaś z nim tylko kontakt mailowy. No i on, zwłaszcza jeśli zachwyił się twoim tekstem, mógł tak się cieszyć z poznania ciebie. I zakładałam, że to był właśnie on. Zaprosiłaś go do siebie po jakimś spotkaniu na mieście, żeby wzbudzić moją zazdrość — zakończył na głos, ale w myślach dodał: „A przynajmniej udawać, że chcesz to zrobić”.

— No cóż, jak zwykle okazałam się banalnie przewidywalna — powiedziała z wymuszoną ironią. — Jak wszyscy ludzie dla ciebie.

— Ty jedna nie, Malwino. Ty mnie już dwa razy zaskoczyłaś. Przecież wiesz.

— Tym kupieniem mieszkania obok ciebie też? — zapytała, z trudem kryjąc radość pod niewinnie zdziwionym pytaniem.

— Dobrze wiesz, że tak. Wprawdzie nie był to dla mnie taki szok, jak przy pierwszym zaskoczeniu, ale również.

— A jak było tym razem?

— Powiedzmy, że trawestując Jamesa Bonda, widząc, jak wychodzisz spod trzynastki, byłem zmieszany, choć nie wstrząśnięty — wyjaśnił Przypadek.

— Ale nie masz nic przeciwko temu?

— Z jednej strony się cieszę, z drugiej martwię. Dobrze wiesz, że to mieszkanie jest przeklęte i jego lokatorzy zawsze kiepsko kończą.

— Ejże, Sherlocku. Przecież dobrze wiem, że jesteś wierzący, czyli nie uznajesz przesądów i nie wierzysz w pechową trzynastkę. — Malwina się roześmiała, ale Jacek wyczuł, że w jej śmiechu jest coś nieszczerzego.

— To prawda. Za to wierzę w to, że tu może być jakieś Zło, które wierzący napisze dużą literą, a niewierzący nazwie pechem.

— No i zrobiło się groźnie. — Malwina się wzdrygnęła. — Ja na szczęście wierzę, że przełamię klątwę tego miejsca i absolutnie nic mi nie grozi. A ostatnio lokatorzy źle kończyli ze względu na sąsiedztwo genialnego detektywa Jacka Przypadka, który odkrywał ich nieczne postęпки. Mam nadzieję, że mnie tego po starej znajomości oszczędzisz.

— Postaram się — obiecał Jacek.

— Postaram się to za mało. Chyba będę musiała wziąć się za nadzór nad twoimi śledztwami, żeby mieć pewność.

— Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że przyjmujesz moją starą propozycję, żebyśmy stworzyli duet śledczy?

— Czyżbym zaskoczyła cię po raz trzeci? — zapytała zadowolona eksdziennikarka.

— Uznaj, że jeszcze trochę mniej niż za drugim razem, ale mimo wszystko tak. Dlatego właśnie zapytam dlaczego, bo nie dam rady się sam domyślić. Zwłaszcza że chyba za dwa dni zaczynasz pracę jako rzecznika prasowa dużej spółki.

— Czuję, że zanudzę się tam na śmierć. Wiesz, to taka świetna fucha załatwiona przez starego znajomego. Kasa dobra, roboty niedużo, tylko jak jakaś kryzysowa sytuacja, to trochę więcej. Ale takie zdarzają się średnio raz na dwa lata.

— Zatem witaj na pokładzie. Zawsze się przyda obok jakaś przyjazna dusza, bo z moim przyjacielem Błażem chyba nie spotkam się prędko.

— Cały czas karnie się do ciebie nie odzywa? — zapytała nieco rozbawiona Żarska.

— A czy wyobrażasz sobie, żeby jakiś Sakowicz sprzeciwił się własnej małżonce? Zresztą znasz świetnie żonę Błażeja, bo przyjaźnicie się z Anią od wielu lat.

— Ale ostatnio kontaktujemy się jakby mniej.

Rozległ się sygnał telefonu komórkowego Jacka. Przypadek spojrzął na wyświetlacz i powiedział:

— No proszę, z tego numeru dzwonił do mnie podkomisarz Łoś, kiedy siedział w areszcie.

— Czyli nowy klient. No odbierz, potrzebujemy pieniędzy — pogoniła go żartobliwie.

— Jacek Przypadek, słucham. ... Bolko? — upewnił się zdziwiony. — Co u ciebie słyszać? — Przez moment słuchał wyjaśnień Szołtysika, lecz przerwał je, bo szołmen miał skłonność do paplania za dużo i bez sensu. — Rozumiem, że w związku z tym chcesz mnie wynająć? ... Tak, Boleczku, ja nie pracuję za darmo. ... Tak, wiem, że chwilowo nie masz za dużo pieniędzy, ale wymyślę sposób, żebyś mi zapłacił. Wpadnę do ciebie jutro. Do zobaczenia. — Rozłączył się.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że zgodziłeś się znów pracować dla Bolka Szołtysika?

— Sprawa zapowiada się ciekawie.

— Ale on na pewno nie ma ani grosza, żeby ci zapłacić!

— Pracując ze mną, musisz liczyć się z tym, że zysk czasem jest osiągany w różny sposób.

— A co on od ciebie chce? — zapytała zrezygnowana Żarska. — I dlaczego dzwonił z aresztu?

— Jest podejrzany o morderstwo.

— Nic mu nie zrobią. Dobrze wiesz, że takim jak on nic nie robią.

— Nie tym razem. Denatka ma na imię Karolina i od prawie dwóch lat pomieszkiwała z panem Skrupskim.

— Tym Skrupskim? — zapytała lekko przerażona Malwina.

— Tak. Tym Skrupskim. Najważniejszym redaktorem naczelnym w Polsce.

* * *

Każdy przełożony najbardziej lubi sytuacje, kiedy podwładny, niczym carski poddany, ma wygląd lichy i durnowaty i w żaden sposób, niepytany, nie próbuje się popisać swoimi przemyśleniami. Słucha tylko grzecznie, co władza zwierzchnia ma mu do przekazania. A potem biegnie usłuźnie wypełnić polecenia.

Największym koszmarem każdego szefa jest zaś moment, kiedy jego pracownik ma już kompletnie w nosie polecenia przełożonego. Dzieje się tak zwykle tylko w sytuacji, gdy podwładny został właśnie szefem związków zawodowych albo po prostu zwariował. Nawet wtedy jednak szef ma pewne narzędzia chroniące powagę jego autorytetu. Dlatego najgorzej jest jednak, kiedy pracownik właśnie odchodzi z firmy i kompletnie nie przejmuje się tym, co przełożony

ma mu do powiedzenia. A szef musi grzecznie jeszcze o coś prosić, bo inaczej może mieć kłopoty.

W tej fatalnej sytuacji znajdował się w tej chwili inspektor Zasada, którego już sam widok uśmiechniętej twarzy komisarza Łosia, połączony z dość nonszalancką pozą „na baczność”, doprowadzał do furii. Ale jako się rzekło, nie mógł jej okazać, bo wtedy nic by nie uzyskał. Z tego powodu starał się wykrzywić usta w jakiś wyglądający najbardziej przyjaźnie grymas.

— Drogi komisarzu, i po co ten pośpiech? — Zasada poklepał Łosia po plecach. — Jesteście jeszcze młodym policjantem, emerytura na razie nie jest dla was.

— Tak naprawdę mógłbym na nią przejść już dwa lata temu.

— Ale ta wcześniejsza emerytura to jest, wiecie, dla policjantów po traumatycznych przejściach, z jakimiś ranami postrzałowymi. A wy jesteście w pełni sił...

— Mówiłem już, jestem wypalony — oświadczył komisarz Łoś. — Praca nie sprawia mi przyjemności. Muszę poszukać nowych wyzwań.

— Wy naprawdę chcecie założyć tę agencję detektywistyczną? Przecież to nudy gorsze niż u nas...

— Dzięki emeryturze będę miał z czego żyć i będę mógł brać ciekawe sprawy.